

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 133.

№ 19. | Warszawa, 18 września (1 października) 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Jeleń

zabity przez J. C. Wysokość Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza i ks. W. Koczubeja w Białowiezkiej puszczy d. 20 września 1903 r.

(patrz str. 300).

ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, odznaczona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.)

(Ciąg dalszy).

Na zająca poluje się śrótem, a śrót nie wywołuje tak wybitnych oznak, jak kula. W tym kierunku więc da się tylko ogólnie powiedzieć, że zając śmiertelnie raniony, puszcza turzycę i pada z dymem, niekiedy dając jeszcze kilka wytężonych skoków i kończy. Jeżeli po strzale znajduje się włos poprzecinany, to zając dobrze trafiony, jeżeli zaś cały, to była tylko obcierka, czyli tak zwany „streifschuss". Czasem kontuzyowany pada na miejscu nawznak, leży kilka sekund, następnie unosi się i przepada. Jeżeli zając po strzale biegnie jakiś czas, a następnie się przewraca, to możemy być pewni, że już więcej nie wstanie.

Trafiony w głowę, pada z dymem, zazwyczaj podskakuje jeszcze, robi młynka i kończy na grzbiecie. Trafiony w jeden skok, pada na bok; jeżeli dwa skoki zostały naruszone, upada i w obydwu wypadkach usiłuje dostać się w ukrycie.

Przestrzelony, przewraca się, ale następnie z całem wytężeniem, kilkanaście kroków umyka i pada.

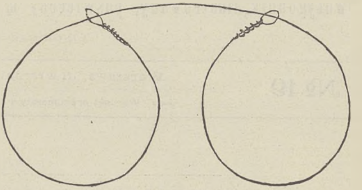
Gdy zając po strzale biegnie w obranym kierunku, jest z pewnością chybiony.

Jeżeli do zająca był strzał spóźniony, wówczas mówią myśliwi, że „wyszedł z naboju". Zając strzelany, chociażby z obydwóch boków, układa się zazwyczaj na ten bok, z którego był śmiertelnie raniony.

Zając, chybiony w kotlinie, siedzi zwykle cicho lub tyłem ciała porusza, wówczas strzał minął zająca, t. j. zgórował; jeżeli strzał był za krótki, t. j. przed zającem, wówczas ziemia obryzguje go i zając, przerażony podskakuje w górę i umyka.

Starzy myśliwi ujmują postrzelonego zająca za tylne skoki i uderzeniem ręki za słuchy, dobijają. Przy takiej manipulacyi, zając zazwyczaj kniazi, czyli skrzeczy, podobnie do płaczu niemowlęcia, co niemile robi wrażenie; lepiej więc ująć postrzelonego zająca pod łopatki i nacisnąć silnie na płuca kciukiem i palcem wskazującym; zając kończy prędzej i bez hałasu. Inne sposoby dobijania, np. kolbą i t. p., nie wyglądają po myśliwsku.

Na polowaniu należy baczyć, aby zwierzyna była czysta, nie wozić jej zatem na kupach, nie ciągnąć po błocie, niepotrzebnie nie dawać aportować, jak to dzieje się czasem wyłącznie dla prezentacyi psa i t. d. Zające, które silnie farbują, ułożyć na bok, aby innych nie powalały. Czystość zawsze wywiera wrażenie dodatnie. Dla zachowania dobrego smaku mięsa,



Drut do przesyłki zajęcy.

należy zabitym zającom natychmiast wypróżnić pęcherz z uryny. W tym celu ujmuje się zająca lewą ręką głową do góry, tylne skoki przystępuje się nogą i zająca wypręża, poczem wielkim palcem prawej naciskamy stopniowo brzuch od góry ku dołowi. Tym sposobem wszystka uryna wypłynie.

Do przesyłki (transportu) krzyżuje się ubitemu zającowi tylne skoki w ten sposób, że przekłówa się powyżej kolana skórkę i przewleka otworem drugi skok za kolanko, następnie zawiesza na kij do noszenia, lub na szczebel do wożenia. W tym samym celu

Sceny myśliwskie w „Popiołach".

Zestawił **J. O.**

(Dokończenie).

Był już mrok prawie, gdy na skraju leśnym stanęli przed kurną chatą, zadętą ze wszech stron przez górskie śniegi. Para koni, zaprzężona do prostych, fornalskich sanek, stała już przed niskiemi drzwiami. Wwalano sarny na sanie przy pomocy oczekującego parobka i zagrodnika, i wszyscy trzej myśliwi ulokowali się jako tako w sąsiedztwie zwierzyny. Młode konie skoczyły z miejsca i poszły w górę. Śnieg po odwilży przymarzł wierzchem; okryła go *śreń* cienka skorupka lodowa. Podkute kopyta trzaskały ostro w szklistą powłokę. Ogary biegły z trudem i kaleczyły się, zapadając w śniegu. Obydwa były senne, znudzone i odbywały tę podróż resztkami siły. Nardzewski podniecał je co chwila pieszczotliwemi dźwiękami, cieszył pogwizdywaniem".

Po drodze Nardzewski „w pewnem miejscu, gdzie stało jeszcze kilkanaście sosen i buków po wyrąbanym lesie, wskazał jedno z tych drzew i rzekł:

— Tu pięć lat temu zabiłem sępa.

— Sępa?!

— A tak. Szedłem sam z polowania. Było to jakoś na jesieni. Słońce zachodziło, jak teraz. Patrzę: na buku coś się rusza. Nie chciałem oczom wierzyć... Miałem lufę nabitą loftkami. Złożyłem się i palnąłem.

— Skrzydła też to miał, skrzydła! Jezus ci Marya...—wtrącił Kacper.—Jak my go rozciągnęli na ziemi, to psy, przecie nie byle jakie, poszły w pola ze skomleniem, i strąbić ich do domu nie było sposobu".

Gdy powrócili do domu, „psy podwórzowe, jeszcze uwiązane na łańcuchach, wyły w niebogłosy, szczekały myśliwskie kundle, wyżły, jamniki. Jakiś olbrzymi kundys co chwila rzucał się na Rafała, żeby go z czułością liznąć po twarzy".

W mieszkaniu Nardzewskiego „całe stado psów wałęsało się po pokoju. Jedne z nich wskoczyły wnet na sofę przy stole i oko w oko przypatrywały się gościowi, inne rozkładały się na dobre obok wielkiego pieca. Niemen i Wisła, bohatery dnia, śmiało układły się do snu w rogu kanapki".

„Przy drzwiach stał strzelec Kacper", zajęty był wykręcaniem ze strzelb nabojów i przemywaniem luf ciepłą wodą.

Rafał, słysząc pociągającą muzykę szorowania wnętrza flint mokremi pakułami, okręconemi o stempel, nie tknął już wina, którego kieliszek wuj mu podsuwał. Przysiadł w kucki obok strzelca i sennemi oczyma patrzał, jak czarna woda strzyka w miskę z panewek. Nudziła go rozmowa i obecność Niemca, a spać jeszcze nie było sposobu, gdyż słano mu zawsze w tym właśnie pokoju na sofie.

używają także 36 ctm. długiego glijowanego drutu z dwoma oczkami do zaciągania.

Oczką zakłada się za kolanka tylnych skoków i zająca zawiesza na poprzeczny kij, położony przez drabiny. Pojedyńczy myśliwy przymocowuje ubitego zająca na zewnątrz torby.

W ciepłej porze najlepiej zająca na miejscu wypatroszyć, w zimie jednak może się przechować czas dłuższy niepatroszony,—zwykle do czasu użytku.

W porze ciepłej, dobrze jest zasypywać wszelkie rany, tudzież oczy, uszy i pyszczek pieprzem lub solą, wówczas muchy nie siadają tak skwapliwie i zapobiega się tym sposobem psuciu. Do dalszej przesyłki wypada zające wypatroszyć.

(*Dok. nast.*).

CIETRZEW.

Któż nie zna cietrzewia? Naszego zwykłego, czarnego cietrzewia, stanowiącego prawdziwą ozdobę lasów i mchów naszych? Cietrzew—samiec (*Tetrao tetrix*) jest prawie całkiem czarny, z wyjątkiem spodu skrzydeł, podogonia i poprzecznych lusterek na skrzydłach, które są białe. Czarne pióra na grzbiecie i szyi mają (szczególnie wiosną) granatowy odcień. Łapy szare i obrośnięte, trochę poniżej stopy, malemi, szaremi z białem piórkami; dziób zielonkawy, twardy, zagięty ku dołowi. Brwi jasno-czerwone latem, jesienią i zimą skurczone, a wiosną podnoszące się i przybierające piękną, czerwoną barwę. Po piórkach na głowie cietrzewia można oznaczyć jego wiek.

Roczny cietrzew ma na wierzchu głowy i koło oczu piórka czarne, prążkowane jasno-brunatnem i białem, a na podgardlu czarne, z białemi prążkami, przez co głowa wydaje się szara. Dwulatek ma już tylko na podgardlu i koło oczu piórka prążkowane białem i jasno-brunatnem. Trzyletnie i czteroletnie cietrzewie mają głowy zupełnie czarne. U pięcioletniego cietrzewia końce piórek na podgardlu zaczynają więdnąć i przybierają szarą barwę (siwieją). Od tego wieku, cietrzew coraz bardziej i bardziej siwieje; to też gdy siwizna dochodzi do pół szyi, cietrzew ma około dziewięciu lat. Oczy ma on piwne z czarną źrenicą. Sterówki w ogonie cietrzewia są czarne i ułożone w następujący sposób: środkowe sterówki są proste i daleko krótsze od bocznych, a cztery boczne są pozachylane w bok tak, że każda ma kształt podobny do klingi starego, stołowego noża. Dwa boczne pióra z lewej strony są zagięte w lewo, a dwa prawe—w prawo i z tego powodu cały ogon ma wygląd zbliżony do liry, ze ściśniętemi ku środkowi ramionami.

Samica cietrzewia, czyli cieciorka, o tyle się różni od samca, że ktoś nieświadomy mógłby ją wziąć za odrębny gatunek. Tło jej zabarwienia jest jasno-żółto-brunatne z ciemniejszemi, brunatno-czarnemi plamkami i prążkami, najgęstszemi na szyi. Brzuch jest żółtawo-biały, w prążki i plamki ciemniejsze. Spód ogona i skrzydeł biały, jak również lusterka na lotkach: pod skrzydłami jednak na lotkach ciemne plamki przebijają. Na nogach piórka mają żółtawy odcień. Dziób i oczy, jak u samca, ale brwi daleko mniejsze i węższe, jasno-czerwone. Sterówki w ogonie cieciorki są wszystkie proste i prawie jednakowej długości. Znaczna przytem zachodzi różnica w wadze pomiędzy cietrzewiem a cieciorką. Zwykła waga dorosłego, normalnego cietrzewia jest trochę więcej, niż trzy funty, cieciorki zaś dwa do dwóch i ćwierć funta. Zdarzają się jednak cietrzewie, dochodzące do pięciu funtów wagi, a cieciorki do trzech funtów.

Wypada tu też wspomnieć o upierzeniu młodych cietrzewi. Zaraz po wyjściu z jajka, młode samce zupełnie się nie różnią od młodych samiczek,—wszystkie są podobne do matki. Już jednak w końcu lipca, w normalnym roku, zachodzi między niemi pewna różnica. Młode samce są już wtedy prawie dwa razy większe od młodych cieciorek i zaczynają dostawać czarno-granatowych plam na swem brunatnem opierzeniu. Mają wówczas bardzo oryginalny wygląd i otrzymują u nas na Białej Rusi *) specyalną nazwę „farbowików“. W Królestwie noszą nazwę „murzynów“. W połowie sierpnia, we wcześniejszych stadkach, farbowiki mają już cały fył ciała czarny i sterówki

*) W siebieskim powiecie, witebskiej guberni.

— Waszmość dobrodziej hoduje, jak widzę, piękne psy. To bardzo piękne psy są — mówił przybysz, głaszcząc z widoczną odrazą łeb Niemna, który mu poufale na kolanach łapy opierał.

— A, niezłe psiska. Dziś się już podstarzały, ale jeszcze z pola nie schodzą. Jeszcze i cuch i rozum przedni mają. Osobliwie suka. Chodź-no tu do pana, Wisełka.

Przygarnął sukę i gładził ją pieszczotliwie.

— Ona to wydaje się na oko niby melancholiczka, a to jest psisko bardzo a bardzo wietrzne i gońca pierwszej wody. I on tam, Niemen, ma ochotę i upór, ale za nią tylko poprawia. Spojrzyj no waszmość, co to za przestrone nozdrza! jakie wilgotne! Jak waści pies takim nosem wiatr weźmie, to tam już ma co trąbą podać do mózgu. A jaki za to u tego grzbiet! Bo i pieczeniasty i długi, zważ waćpan. A za to u tej... noga. Co? Stopka podługowata, widzisz waćpan? Ona mi się jeszcze ani razu nie podbiła...

— Ale—wtrącił Kacper—gdzie się to taka suka podbije. To idzie po śniegu, czy po grudzie, jak ten lis.

— On choć jest pies cnotliwy, nie raz się znosi i milczkiem, zdrajca, nakłada, a ją zawsze słychać: idzie równo lasami, jak dyliżans po gościńcu. Głos, jak u młodej wdówki. Co ona wiatrem i prędzej, to ten musi kopytem, leniwiej, na rozum i nie tak rączo, a za nią, za nią!

— To bardzo piękne psy... A czy i tamte kundle także jakie zalety mają?—z odcieniem ironii pytał Hibl, wskazując wielkie, kudłate psiska pod piecem.

— Tamte? A to samo psy zacne. Na dzika — jedyne! Toż zeszłego roku w samą wilię wzięliśmy z nie mi dzika prawie żywcem.

— Aż tak?—dziwił się Galicyanin.

— Byliśmy we dwu z tym oto strzelcem. Wyszlakował był dziki w lasach, tu na Bukowej górze. Nocowały w małym smugu, w oparzeliskach. Poszliśmy raniuteńko. Puściliśmy te pieski w zagajnik. Cicho, cicho... Aż jak wrzaśnie oto ten — Rozbój: aj-aj! Na oko wszystkie i zębcami! Wygnały dzika, tylego jak bawół, wprost na niego, na Kacpra. No, zaczął mierzyć, celować, przykładać się i, dasz waćpan wiarę?—chybił. *Artifex!* On i takie sztuki potrafi, choć przecie ze mną trzydzieści lat za zwierzem chodzi, a chwali się, że kszykowi, jaskółce w lot nie zborguje. A psy swoje: stanowią dzika w głębokich śniegach. Żebyś waszmość widział ten obraz! Jeden się wszczepił w ucho, przelazł na *bałyku* przez bestyę i wisi, ani piśnie. A ślepie u niego—żywa krew! Drugi trzyma za lewe ucho; przedniemi łapami worał się w śnieg, w ziemię i nie popuszcza. Trzeci, Kusy, dopada, dopada... Dzik toto wszystko wlecze na sobie i brnie śniegami. Ale klem, rozumiesz to waszmość, nie może ani, ani, bo Rozbój... Czasem tylko dmuchnie nosem, albo ciapnie pyskiem.. Ja tu strzelić nie mogę, bobym psa, czego Boże broń, zabił. A już wolałbym sobie w nogę palnąć, niż w takiego psa. No, a dzik mi

w ogonie już się zaczynają zachylać. W końcu tegoż miesiąca niektóre cietrzewie są już zupełnie czarne, tylko głowy zostają szare do następnej wiosny. Cieciorki młode, ku końcowi sierpnia są już zupełnie wyrosłe i różnią się od starych jedynie jaśniejszą barwą.

* * *

Pod koniec zimy cietrzewie trzymają się stadami, ale zawsze samce osobno, a samice osobno. W końcu marca, gdy słońce zacznie trochę silniej przygrzewać, zaczynają cietrzewie tokować (parzyć się). Z początku tokuje cietrzew niedługo, siedząc na drzewie i po dobrem śniadaniu; lecz stopniowo coraz bardziej się zapala i gdy tylko zaczyna świtać, cietrzew zaczyna zajadle tokować, przyczem coraz częściej na ziemi i tak, iż w końcu kwietnia trudno już spotkać cietrzewia, tokującego na drzewie. Cietrzewie tokują stale, corocznie na tem samem miejscu, które się zowie „tokowiskiem". Dwa są rodzaje tokowisk: rozrzucone i gęste. Tokowisko rozrzucone może mieć do stu i więcej wiorst kwadrat. obszaru, przyczem często się zdarza, że jeden tylko cietrzew tokuje na przestrzeni pół wiorsty kwadratowej. Tokowisko gęste, (najczęściej polana w lesie lub górka na polu między lasami) to takie, na które cietrzewie zlatują się z dość daleka, tak, że często zbiera się razem do 20 sztuk, gdy tymczasem na tokowisku rozrzuconem, każdy cietrzew tokuje osobno, często w znacznej odległości od drugiego. Samo się przez się rozumie, że tam, gdzie się zlatuje dużo cietrzewi, zaczynają się między niemi zajadle bójki o cieciorki; z tegoż samego powodu, na rozrzuconem tokowisku bójki rzadko się zdarzają.

Włodzimierz Korsak.

(C. d. n.).

idzie w lasy i my, jak głupcy, za nim. Dopiero się przecie mój Kacperek odważył. Przeżegnał się i wlazł na dzika okrakiem, siadł se na nim mocno, jak na koniu, obcasy wparł w ziemię. Tym oto kozikiem, co go ma u pasa, zaczął mu podrzynać gardziołek. Naśmiałem się też wtedy! Bo to jechał na dziku ze siedm pacierzy, nim mu wszystkie żyły i *arterias* poprzerzynał...

— Szelma też to była sroga, choć i ten dzik! — westchnął Kacper. — Znałem ja się z nim! Dopadł ci mię on jednego razu na Cisowskiem, a jak mię zaorał kłem po łydkach, to do samej kości mięso ozdarł, jak cygankiem, aże w kolano. Pod siebie mię przecie o mało nie wziął, ciortu brat, bom go się był bardzo przeląkł. Teraz jeszcze, jak se spomnieć, to człowiekowi seremno. A ja już bywałem pod dzikiem. Już mi ta jeden orał kożuch na plecach to prawym, to lewym kiełcem, i deptał po mnie raciami: z tego wiem, co taki ma w sobie za siłę! Świnia! Ślepiem na mnie, zatracony, pojrzał, tylem jak żołędzia łupina, a krew człowiekowi w żyłach zmarzła i w gardzieli głos zatkało... Alem ja i tamtego to samo połechtał po szyjce...

— Ba! my tu rozprawiamy, — wtrącił Nardzewski — a waszmość, panie komisarzu, może i owo zgoła nie myśliwy?

— Ja wcale myśliwy nie jestem. Gdzież czas na takie zabawy znaleććbym mógł? Zawsze na służbie...

Wielkie psy pasterskie.

Rasy powstałe z krzyżowania.

(Dokończenie).

Głowa lekko wypukła; guz czołowy wydatny. Głowa z mordą, w profilu, nie zbyt szeroka i nie za wązka. Szerokie wgłębienie, lecz bez przełomu, idzie odc łba do kości nosowej. Policzki mało wydatne. Łuki nadbrwiowe dobrze odznaczone. Kość nosowa, widziana z góry, równej szerokości od oczu do nozdrzy i ścięta prostopadle na dół; w profilu nieco garbata, ale nigdy nie wklęsła. Morda równej długości z głową, raczej nieco dłuższa, niż zakrótka. Wargi dostatecznie opuszczone, nie zakończone ostro, lecz prawie prostopadle do kości nosowej. Kąty gęby wydatne, ale bez przesady. Skóra na mordzie gładka, bez zmarszczek; na czole marszczy się, gdy pies jest pobudzony. Nos szeroki, z nozdrzami otwartemi, zawsze czarny. Szczęki mocne. Zęby prawidłowe.

Uszy, osadzone wysoko i nieco ku tyłowi; wielkości średniej, tak szerokie, jak długie, pięknie zaokrąglone na końcu i suto pokryte włosem. Brzeg przedni przylega do policzków. Gdy pies nasłuchuje, uszy podnoszą się ku górze i tylny brzeg oddala się nieco od głowy.

Oczy, średniej wielkości, umieszczone więcej z boków głowy, koloru piwnego, o wyrazie łagodnym i rozumnym. Powieki zamykają się szczelnie.

Szyja mocna, muskularna, osadzona wysoko i łącząca głowę z łopatkami piękną krzywizną. Skóra na szyi bez zwieszonego podgardla.

Przód. Muskulatura łopatek i przedramion powinna być widoczna pod szerścią. Łopatki skośne i długie. Przedramię pod kątem prostym z łopatką, długie, muskularne, przylegające do piersi i poruszające się swobodnie. Łokietki prawidłowo postawione i opuszczone nieco niżej klatki piersiowej. Podramię muskularne z przodu i z zewnątrz, żylaste z tyłu i wewnątrz. Część dłoniowa dość długa i silna. Całe nogi przednie zupełnie proste i niezbyt zbliżone do siebie, ani niezbyt oddalone. Łapy ściśnięte, nie zupełnie okrągłe, ale i nie za bardzo wydłużone.

Korpus wydaje się być długim z powodu skośnego postawienia łopatek, jednak grzbiet jest dość krótki. Klatka piersiowa owalna i głęboka. Kość piersiowa wydatna. Grzbiet szeroki, poziomy aż do krzyża. Krzyż silny, krótki i spuszczony. Brzuch mało podciągnięty.

Zad. Szynki krótkie i bardzo muskularne. Skoki długie, silne, żylaste i tworzące z szynkami kąt prawie prosty. Łapy tylne krótsze od przednich i mniej ściśnięte. Ostrogi powinny być obcięte.

Ogon osadzony głęboko, silny i długi, bardzo suto uwłosiony z długiem piórem. W spoczynku, ogon opuszczony z lekkiem zakrzywieniem ku górze; w ruchu podniesiony i silniej zagięty, lecz bez utworzenia zamkniętego koła. Nie powinien nigdy być podniesiony wyżej krzyża.

Szerść gęsta z równie gęstym podszerstkiem, długa lecz nie zakrywająca konturów ciała. Na głowie włos krótki i gładki, dłuższy na brzegach uszu. Szyja i kark bogato uwłosione. Na łopatkach i grzbiecie włos nieco krótszy i gładki. Na klatce piersiowej i krzyżu, dłuższy. Na szynkach, rozdzielając się ku przodowi i tyłowi, tworzy wyraźny, prostopadły przedział. Tylne części nóg przednich aż do łap, a tylnych do skoków, ubrane długim włosem. Części przednie i wewnętrzne nóg pokryte włosem krótkim.

Maść. Od brudno-żółtej do rudej, często z ciemniejszemi lub czarniawemi cieniami, które uwydatniają formy ciała. Kolor wilczy, z czołem i konturami oczu ciemniejszemi, jest bardzo poszukiwany, równie jak czarna maska na mordzie. Wogóle, wargi i brzegi uszu powinny być czarne; łopatki, siodło na grzbiecie, boki szynek i wierzch ogona powinny być ciemniejsze, reszta jaśniejsza. Białe odznaczenia są wykluczone, dopuszcza się conajwyżej biała łatka na piersiach i białe końce łap.

Wysokość w łopatce dla psów najmniej 80 ctm., a dla suk 70 ctm. U tych ostatnich prawidłowa budowa i szeroki krzyż są ważniejsze od wzrostu.

August Sztolcman.

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ III.

1 marca.

Z prawdziwą rozkoszą przebudziłem się dziś rano w obszernym i chłodnym pokoju pięknej willi naszego gospodarza, a sama myśl, że przez kilka tygodni nie zobaczę brudnych hoteli i brudniejszych jeszcze wagonów kolejowych, które dotychczas były ciągle naszem mieszkaniem w Indyach — sama ta myśl radością serce napawa. Doktór S. mieszka pod namiotem w ogrodzie obok domu, w cieniu drzew rozpiętym. Cały ranek zajęty przygotowaniami do dalekiej drogi do Goony, dokąd pojutrze mamy podążyć. Na jutro przygotowane polowanie na antylopy.

Długa to droga do Goony, 140 mil angielskich, czyli około 210 wiorst (mila angielska równa się około $1^1/_2$ wiorsty). Do pierwszego etapu dostawia nas major Barr końmi Maharadży.

Gwalior jest stołecznem miastem niezależnego państewka i rezydencyą gwaliorskiego Maharadży. Obecny władca liczy 13 lat. Major Barr pełni czynności angielskiego rezydenta, czyli przedstawiciela rządu królowej.

Dziś wieczorem wyprawiam z bagażami Majkla, tak zwaną pocztą wielbłądzią, na którą się na pierwszej stacyi mamy przesiąść. Oryginalny to i niezbyt lekki zaprząg, ta poczta wielbłądzia — jestto rodzaj bryki ogromnych rozmiarów, mniejwięcej tego kształtu, co wozy, używane po wielkich miastach do przewożenia mebli, bez resorów naturalnie. Do bryki tej na dwa piętra przedzielonej i pokrytej słomianym dachem, założona para wielkich, jednogarbnych wielbłądów. Na wierzchniem piętrze rozkładają się — bo siedzieć niema na czem, chyba w kuczki — pasażerowie, do dolnego pakują kufry i manatki. Zwykły to sposób jazdy w całych Indyach środkowych; powóz końmi zaprzęgnięty, należy do rzadkości, którą tylko na dworze księcia lub u wysokich urzędników spotkać można. Dwa takie wozy są nam potrzebne, bo bagażów dużo i na jednę parę wielbłądów byłoby zaciężko. Tym zaprzęgiem mamy trzy czwarte drogi do Goony odbyć. Radzą nam podróżować w nocy, gdyż wielbłąd w nocnym chłodzie szybciej i raźniej się posuwa i w godzinę do pięciu mil przebywa, gdy w dziennym upale zaledwie na trzy mile chodu na godzinę liczyć można.

Gospodarz nasz i jego małżonka tacy uprzejmi, i tak mi na każdym kroku pomódz i wszystko ułatwić się starają, że doprawdy każdego zadziwić to może, a conajmniej, nauczyć prawdziwej gościnności.

Prawdziwą niespodziankę zgotował mi nasz poczciwy gospodarz po południu, dając mi sposobność przyjrzenia się widowisku, jakiego już chyba nigdy nie zobaczę. W paradnym ekwipażu zawiózł doktora i mnie do rezydencyi Maharadży, pałacu wielkich rozmiarów w włoskim stylu, przez włoskiego budowniczego na początku bieżącego wieku wzniesionego. Przed pałacem na ogromnym placu zielonej murawy rozstawiony był cały dwór indyjskiego książątka. Około dwustu arabskich bachmatów, w pysznych, bogatych rzędach, trzymanych przez pachołków w czerwonych liberych, tworzyło jakby szpaler przy drodze, wiodącej do głównego zajazdu.

Przed frontem pałacu z jednej strony stał szereg sześćdziesięciu słoni, w czerwonych, złotolitych kapach, ze złotemi pierścieniami i gałkami na kłach, z drugiej złociste palankiny, wołami o złoconych rogach i wielbłądami zaprzęgnięte, w środku oddział przybocznej gwardyi Maharadży, w dziwacznych mundurach, który przyjął nas biciem w bębny i muzyką piszczałek, prezentując broń przed angielskim rezydentem. Sokolnicy z sokołami na ręku, tłum różnobarwny służby dopełniał tego malowniczego obrazu, na widok którego, myśl o kilka wieków wstecz się cofała.

Po obejrzeniu pałacu, który z europejska urządzony, nic szczególnego nie zawiera, udaliśmy się do ogrodu, gdzie Maharadża miał nam udzielić audyencyi. Trzynastoletni władca siedział na złocistem krześle pod jedwabnym baldachimem, w otoczeniu swych ministrów i dworaków. Zgraja służby stała za nim, trzymając parasole od słońca nad jego głową, wachlując go i muchy odpędzając. Wstał na nasze spotkanie, uprzejmie podaniem ręki powitał i koło siebie usiąść zaprosił. Ładny chłopiec, z czarnemi jak węgiel oczyma, o śniadej cerze, rosły na swój wiek i nieco już podżyły, zmieszał się z początku widocznie i nie wiedział jak rozmowę zacząć. Szybko się jednak oswoił i dobrą angielszczyzną począł mnie w zabawny sposób krótkiemi, urywanemi pytaniami zarzucać: jak się nazywam, zkąd jestem i t. d. Doktór S. szczególnie go zajął, gdy się dowiedział, że tenże po angielsku nie mówi; nie mogło mu się widocznie w głowie pomieścić, że są na świecie biali ludzie nie-Anglicy. Ubrany był w białą, muszlinową suknią, z czerwonym zawojem na głowie, na szyi miał kilka skręconych rzędów pereł, wielkości laskowych orzechów. Po chwili nas pożegnał, zalecając uprzejmie, byśmy cały jego dwór i resztę pałaców zwiedzili. Tych ostatnich w parku rozrzuconych jest kilka, jeden szczególnie, w czysto hindustańskim stylu, z dziwacznem urządzeniem i rozkładem pokoi, zawiera skarby ciekawych zabytków malowideł i rzeźb dla amatora hindustańskiej sztuki i historyi. W środku parku mały zwierzyniec, z oswojonemi jeleniami i antylopami, tygrys w żelaznej klatce i wolno chodzący nosorożec dopełniają całości dworu indyjskiego księcia.

Młodziutki ten władca, wstąpiwszy po śmierci ojca na tron swych przodków, panuje nad obszernym krajem, de jure niezależnie od Anglii; obecnie, podczas jego małoletności, rejencya, z ministrów złożona, sprawuje rządy kraju. Bliżej się stosunkom przypatrzywszy, widzi się tu, jak zgrabnie i rozumnie Anglicy swą politykę prowadzą. Wychowaniem chłopca trudnią się wyłącznie angielscy nauczyciele, wszystkie ważniejsze i większe posady zajmują angielscy urzędnicy, wojskowi i cywilni, prawdziwym rządcą kraju jest major Barr, nasz gospodarz, który całą władzę w swem ręku dzierży; jego słowo, to rozkaz, przed którym się cały dwór Maharadży pochyla.

Podziwiać trzeba politykę Anglików, którzy do tego stanu rzeczy w tak olbrzymim, różnoplemiennym, jak Indye, kraju, wszędzie doprowadzić zdołali.

System ich, to bezwzględna potęga silniejszego nad słabszym, system strachu, kary i grozy, lecz tylko tam, gdzie chodzi o utrzymanie porządku w administracyi lub o zachowanie powagi angielskiego rządu; zresztą, co do języka, religii i zwyczajów krajowców, pozostawiają tymże wolność zupełną.

Nieraz w Europie słyszy się zdanie,— dość ogólnie zresztą rozpowszechnione — że „w Indyach miliony krajowej ludności jęczą w ohydnej niewoli pod straszliwem jarzmem zachodniego zdobywcy“. Mylne to wręcz zdanie, szczególnie, gdy mowa o „milionach“ ludności, dla tej bowiem, to jest dla właściwego ludu Hindustanu, era spokoju, wolności i bezpieczeństwa życia i mienia, zawitała dopiero od chwili utrwalenia w Indyach angielskiego rządu, który, krusząc potęgę krajowych władców, położył tamę ich samowładztwu i krwawym bezprawiom, których się w ciągu długich wieków względem swych poddanych dopuszczali.

Na zmianie sposobu rządzenia stracili książęta, straciła wyższa warstwa Bohadorów, Nababów i tym podobnych władyków, lecz bezwarunkowo zyskał lud.

O „jarzmie“ niema mowy—jest rząd twardy, żelazny niemal, lecz prawy i sprawiedliwy, w wielu rzeczach, naprzykład co do wolności prasy, dziwnie nawet liberalny. Ogólny stan rzeczy w Indyach, co do porządku administracyi, rozszerzenia oświaty, rozwoju ekonomicznych stosunków i dobrobytu krajowego, dowodzi jasno, co zdziałać są w stanie ludzie nieugiętej energii i żelaznej woli, którzy wiedzą, czego chcą i prosto dążą do celu. Niewątpliwie w całej angielskiej potędze w Indyach dużo jest powierzchowności, dużo sztucznych fikcyj i wiele braków w ich postępowaniu ze wschodniemi ludami, to też po dworach Maharadżów i między wyższemi warstwami muzułmańskiej ludności nurtuje pewien prąd niezadowolenia i daje się zauważyć chęć zmiany, lecz w jakim kierunku tej zmiany dokonać należy, tego sami malkontenci określić nie są w stanie. Anglicy—jak się ktoś wyraził — płyną w Indyach pod wodą. Czy się ich system utrzyma, czy się pływak a la longue nie zmęczy lub kiedyś nie spotka z drugim, który z wodą przypłynie, i co wtedy z tego spotkania wyniknie, oto trudne pytanie, które jedynie przyszłość rozwiązać potrafi, a w każdym razie nie należy do zakresu skromnych notatek myśliwego.

Wieczorem zgromadziła się na obiedzie u majora cała—nieliczna zresztą—kolonia angielska Gwalioru, przeważnie oficerowie, pełniący rozmaite funkcye urzędowe przy dworze Maharadży. Jeden z nich, Captain Masters szczególnie mnie zajął, gdyż przebywszy w Goonie długie lata, znał doskonale tamtejsze stosunki łowieckie. Potwierdził mi niestety to, co już przedtem wiedziałem, że grubej zwierzyny tam niewiele i tygrysów coraz mniej. Pułkownika Gerarda chwalą wszyscy, jako znakomitego myśliwego, prawdziwą powagę w łowieckiem świecie Indyj.

(C. d. n.)

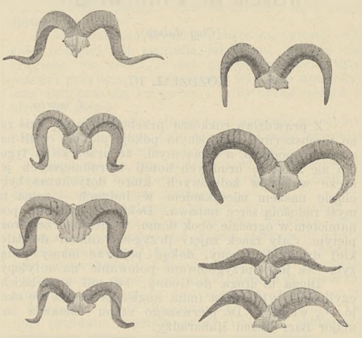
DO „POLOWANIA W PERSYI“

słów kilka o baranach i kozłach kaukazkich.

Przeważająca większość naszych myśliwych, do liczby których i ja zaliczyć się mogę, przywykła czytać z pełnem zaufaniem i wiarą w prawdziwość opisów wypraw cudzoziemskich myśliwych do krain mało, lub zupełnie nam nieznanych. Zdumiewa nas często ich wszechwiedna znajomość fauny lub flory, unosimy się nad przedsiębiorczością i energią jakiegoś Anglika lub Niemca, podziwiamy jego znajomość stosunków i doświadczenie myśliwskie, wierzymy ślepo w jego słowa, bynajmniej nie troszcząc się o ich prawdziwość. Bez wątpienia, wiele więcej oni zrobili od nas w tym zakresie, mamy wiele wiadomości im do zawdzięczenia i tej przewagi nad nami, niestety, odmówić im nie możemy. Ale też mało który naród posiada tak szczupłą liczbę podróżników-myśliwych, jak nasz, choć niemal każdy Polak jest dobrym myśliwym i doskonałym strzelcem. Gdybyśmy mniej posiadali zamiłowania do wygód i naszych nawyknień i nieraz z niemi choć na krótko rozłączyć się chcieli, aby wyjrzeć po za granice sąsiedzkiej miedzy, przekonalibyśmy się niejednokrotnie, jak często czytane zamorskie historye niezgodne są z istotą, oczywistą rzeczy.

Czytając w „Łowcu Polskim“ o „polowaniu w Persyi“ *) znalazłem tam kilka ustępów fałszywych, a jako znającemu cokolwiek tamtejsze stosunki, niech mi wolno będzie zrobić kilka uwag.

Tygrys, o identycznem pochodzeniu którego nie śmiem się sprzeczać z autorem, choć widziany przezemnie w zbiorach p. W. w Lenkorani, wspaniały egzemplarz nosił wszelkie cechy królewskiego, jak



Ovis Polii.
Ovis argali.
Ovis argoli.
Ovis Karelini.

Ovis cycloceros.
Ovis cycloceros.
Pseudois naboor.
Pseudois naboor.

również tamże spreparowany w pracowni p. S-wicza dla Szacha Perskiego, osobnik należał niewątpliwie do indyjskich przedstawicieli tego rodu, zamieszkuje całą północną Persyę i o ile jest pospolitym w Chorosanie, Mazenderanie, Gilanie, Tałyszu, Aderbejdżanie i Karadaghu, aż do podnóża Araratu, o tyle znów po za tem rzadko spotyka się w tureckiej Armenii, Kurdystanie lub Pontyjskich górach, a tem mniej w okolicach nadmorskich, Sazistanie lub Guryi. O pojawieniu się tygrysów w szerokiej dolinie Kury lub pięknego Rionu, przejściu tych porzeczy i posunięciu się jego aż do podnóża kolosalnego Elbrusa, brak wszelkich wiadomości i autor miał zapewne na myśli perski Elburz, a nie kaukazki Elbrus. Tak Persowie, jak i Tatarzy uprawiają tam przeważnie polowania na tygrysa z naganką lub gonią go po tropie; z kilkunastu, zabitych w Tałyszu w ostatnich pięciu latach tygrysów, jeden tylko, i to przypadkowo, był zabity przez oficera pogranicznej straży

*) NN. 7 i 8 „Łowca Polskiego“ z roku bieżącego.

z Pryszybu nocą na zasadzce na ryżowych polach na dziki.

Przypisywanie przez autora różnicy w formach rogów muflonów i ich ubarwienia wiekowi barana lub wpływowi czterech pór roku, jak to Szanowna Redakcya „Łowca Polskiego“ słusznie raczyła zauważyć, jest najmylniejsze i brakiem wszelkich w tym względzie wiadomości autor czytelnika w błąd łatwo wprowadza. Z siedmiu różnych odmian dzikich baranów (*Ovis Polii, Argali, Karelini, Vignei, Brookii, cycloceros* i *Pseudois nahoor)*, jakie zamieszkują całą środkową, południową i zachodnią część Azyi, trzy odmiany spotyka się w Persyi, odróżniające się tak znacznie od siebie, zarówno pod względem form zewnętrznych, jako też i różnym wyglądem rogów, iż tylko niedoświadczony myśliwy nie umie tego zauważyć i prawidłowo ich określić.

W swoim czasie pisałem o wyglądach azyatyckich baranów, dziś więc poprzestaję na załączeniu rysunków ich rogów, dających czytelnikowi naszego „Łowca Polskiego“ jasne pojęcie o ich wyglądzie*). Pierwszeństwo co do wagi i rozmiarów należy się baranom Marka Pola, których czaszka z rogami przewyższa 40 funtów (żywa zaś waga 600 funtów), objętość rogu przy czaszce 41—42 ctm., — długość jednej odnogi nieraz dochodzi do 140 ctm. *Cycloceros* zaś jest lżejszy, rogi 90—110 ctm. długie, przy tejże objętości, ważą tylko 28—35 funtów, a najmniejsze „nahoor'a“ zaledwie połowy wagi i rozmiarów ostatniego dosięga. Wszystkie jednakże tu podane odmiany, zdumiewają nas swym ogromem i nader krzepką budową, są to prawdziwe kolosy, przed któremi muflony Sardynii daleko ustępują.

Wł. Czerniejewski.

(*Dok. nast.*)

*) Załączone figury są rysowane z natury przez autora. (*Przyp. Red.*)

PUMA, CZYLI KUGUAR.

(Felis concolor).

(*Ciąg dalszy*).

Chociaż opowiedziane zdarzenie może innym przedstawić się jako urojone, mnie jednak ono nic zadziwiło. W innych miejscowościach zdarzało mi się słyszeć o wypadkach daleko więcej niezwykłych, lecz słyszałem je nie z pierwszych ust i dlatego nie mogę ręczyć za dokładność szczegółów; wiarogodność zaś opowiedzianego wypadku nie podlega żadnej wątpliwości.

Wszystko, co słyszałem o pumie, zniewala mnie do wiary, że zwierzę to posiada szczególny instynkt przyjaźni dla człowieka, choć początek tego instynktu, tak jak i wielu innych u rozmaitych zwierząt, pozostaje dla nas tajemnicą. Widzieliśmy już, że puma nigdy nie napada na ludzi, jeżeli nie jest przez nich zaczepioną, że nie jada ludzkiego mięsa, i nakoniec, że oprócz bardzo rzadkich wypadków, wyrzeka się nawet samoobrony. Ale wszystko to jest jeszcze mniej dziwne, niż owe wypadki, w których to śmiałe i krwi chciwe stworzenie towarzyszy człowiekowi w jego wędrówkach po pustyni, albo też przychodzi bronić śpiącego lub ranionego przed jego wrogiem, jaguarem. Wiadomo, że niektóre dźwięki, kolory lub zapachy, obojętne dla większej części zwierząt, na pewne gatunki działają bardzo silnie. Podług mnie, można przypuścić, że właśnie w ten sposób zewnętrzny wygląd człowieka lub zapach jego ciała działa na pumę, niwecząc drapieżne jej instynkty i wywołując takie przyjacielskie dla nas usposobienie, jakie zwykliśmy spotykać tylko u zwierząt udomowionych, a u innych tylko względem osobników tego samego gatunku.

Wilki, dręczone głodem, rozszarpują czasami jednego ze swoich, lecz koty (mowa o całej rodzinie) raczej zdechną z głodu, a nie ruszą podobnego sobie. Również rzadko napadają one na zwierzęta, posiadające takież same instynkty. Jeżeli puma napada, jak to widzieliśmy, na wielkie drapieżniki, czyni to wcale nie dla nasycenia głodu, lecz poprostu dla zadowolnienia swej nienawiści względem nich; oszczędzając zaś człowieka, jednocześnie poluje namiętnie na małpy i bardzo lubi ich mięso, choć one właśnie najwięcej są podobne do ludzi. Wobec tego możemy tylko powtórzyć za Humboldtem, że w sympatyach i antypatyach zwierząt jest coś dla nas niepojętego.

Przedstawiony powyżej pogląd na charakter pumy, wzbudzić może zainteresowanie, jakie też szczegóły znajdujemy o tem zwierzęciu w dawnych, historycznych i przyrodniczych dziełach. Postaram się podać je tu w krótkości.

W dziele Byrona „Narrative of the loss of the Wager“ jest jedno miejsce godne uwagi, na które zsyła się i admirał Fitzroy dla dowiedzenia, że puma żyje na Ziemi Ognistej i przyległych wyspach, choć niema tam innych, dużych drapieżników. Oto, co pisze Byron:

„Usłyszałem tuż około siebie ryk, który zdawał się ostrzegać, że bezpieczniej opuścić to miejsce. W lesie było zupełnie ciemno, nic mogłem nic dostrzedz, lecz powracając śpiesznie, ciągle słyszałem tuż po za sobą te ryki. Niektórzy z moich ludzi zapewniali potem, że widzieli w lesie jakieś wielkie zwierzę. Poleciłem czterem z nich iść zaraz ze mną na koniec zatoki, na odległość dwóch mil od naszego namiotu i zająć tam rozwalającą się, indyjską chatę, którą zauważyłem jeszcze w czasie pierwszej wyprawy. Wyłożyliśmy ją od strony wiatru wodorostami i rozpaliwszy ognisko, układliśmy się do snu z nadzieją zapomnienia o trapiącym głodzie. Wkrótce jednak jeden z moich towarzyszy był obudzony uderzeniem w twarz: otworzywszy oczy, nie mało zdziwił się, spostrzegłszy przy świetle dopalającego się ogniska stojące, nad sobą jakieś wielkie zwierzę. Nie straciwszy przytomności, schwycił on głownię i tknął nią w pysk zwierzęcia, które natychmiast uciekło. Rankiem byliśmy bardzo ciekawi dowiedzieć się, jak przepędzili noc pozostali nasi towarzysze, a ciekawość nasza wzmogła się jeszcze, gdyśmy na piasku znaleźli ślady zwierzęcia, skierowane ku namiotowi. Ślady były odciśnięte wielkiemi, okrągłemi łapami, uzbrojonemi w pazury. Kiedy opowiedzieliśmy towarzyszom o naszej przygodzie, dowiedzieliśmy się, że i do namiotu także przychodził ten gość nieproszony“.

Murray, w swojem dziele: „Geograficzne rozmieszczenie zwierząt“ utrzymuje, że cieśnina Magielańska jest południową granicą sfery, zamieszkanej przez pumy, i tak się wyraża o przytoczonym ustępie z Byrona: „opowiadanie to wcale nie zniewala do wiary, żeby nieznane zwierzę miało być pumą. Opisanie śladów jasno wskazuje, że to było inne zwierzę, gdyż żaden z kotów nie może zostawiać odcisku pazurów na ziemi; przeciwnie, wszystkie psy znaczą zwykle ślady pazurów. Byron i jego towarzysze mylili się, a zwierzę, które ich przestraszyło, było bez wątpienia domowym psem indyan“.

Lecz taki śmiały podróżnik, jakim bez wątpienia był Byron, nie mógł przestraszyć się i zaniepokoić pojawieniem marnego, indyjskiego psa, tembardziej, że psy te były mu wybornie znane. Podobne przypuszczenie może zrobić tylko gabinetowy uczony, badający życie dzikich zwierząt, siedząc spokojnie przy biurku w swoim londyńskim gabinecie. Zapomniał on, że Byron żył w czasach, kiedy od opisujących zwie-

rzęta nie wymagano ani szczególnej dokładności, ani pedantyzmu. Jeżeli z jednej strony mamy przyczepiać się do niedokładności opisów Byrona, to z drugiej nie powinniśmy zapominać o tak ważnym szczególe, jak ten, że towarzysze jego już w lesie widzieli jakieś wielkie zwierzę.

(C. d. n.).

Ze wspomnień starego myśliwego.

Polowanie na kaczki. Zarys ich natury i zwyczajów.

(Ciąg dalszy).

To gromadzenie się licznej rzeszy na głos trwogi jednego indywiduum, jest widać wspólne wielu gatunkom ptaków. I tak: gdy byłem jeszcze dzieciakiem, wybudowałem sobie w lesie gniazdo, wysoko, na rozłożystem drzewie; umieściwszy się w niem, udawałem głos sójki, na ten krzyk wszystko, co żyło, zlatywało się na moje drzewo, a więc sikory, kowaliki, wilgi i t. d., wszystko to, skacząc po gałązkach, łączyło swoje głosy z moim krzykiem ku wielkiej mojej uciesze,—dopóki nie ochrypłem ze szczętem.

Na tem tle dam obraz najświetniejszego rezultatu mego polowania. Wyszedłem około szóstej rano na kuropatwy, zabiłem cztery, reszta poszła w kierunku wielkiego bagna, jakie się w środku lasu znajdowało; poszedłem za niemi, spodziewając się odnaleźć je. Znalazłszy się niedaleko bagna, usłyszałem taki plusk, taki gwar kaczek, że już to dawało mi miarę ich ilości. Wyjrzawszy ostrożnie z krzaków, aż mi się gorąco zrobiło, zobaczywszy taką mnogość,—cała powierzchnia wody, mniej więcej półtoramorgowa, literalnie zasypana była kaczkami; takiej masy tak blizko nigdy nie spotkałem — ale jak tu postąpić? Wiem, że gdybym mógł strzelić do nich na wodzie o czterdzieści kroków pod odpowiednim kątem, a z drugiej lufy poprawić w chwili zrywania się, to nie zdziwiłbym się, gdyby trzydzieści zostało na placu, ale czy się to da wykonać! Zrzuciłem torbę, psom kazałem zostać w lesie, a sam podpełzłem do krzaka nad samym brzegiem bagna. To jeszcze niewiele, choć od stada nie byłem dalej, jak o 30—40 kroków, ale zupełnie mi je zasłaniały kępy,—podsuwać się dalej nie sposób, bo w kępach muszą być kaczki, a jedna spłoszona, dawszy odpowiedniem, krótkiem kwaknięciem głos trwogi, wszystkie za sobą zabierze. Już chciałem zerwać się, dać ognia na wodzie, a potem w lot, lecz ten zamiar wydał mi się za ryzykowny, nuż nie zdążę wystrzelić na wodzie aż dopiero wtenczas, gdy się kaczki nieco w górę podniosą, to skutek będzie niewielki, 3—4 sztuki; gdyby się jeszcze można było spodziewać, że, zerwawszy się, będą skręcały w miejscu, to mogłoby spaść kilkanaście, lecz tego trudno było przewidywać, — las wokoło wysoki, pójdą prostopadle w górę, — zdecydowałem się więc inaczej. Odpowiedniem, krótkiem świśnięciem zwołałem psy, kazałem im iść naprzód tak, aby je wielkie stado spostrzegło. Kaczki bowiem mają ten zwyczaj, że gdy spostrzegą psa nad brzegiem, nie widząc poprzednio człowieka, zaraz do niego blizko podpływają, wydając krótkie głosy trwogi; można to łatwo sprawdzić na kaczkach swojskich, gdy na brzegu sadzawki ukaże się pies im nieznany. Otóż w ten sposób chciałem od siebie odwrócić uwagę głównego stada, poczem zacząłem wabić, udając głosy dwóch czy trzech kaczek. Za chwilę zaczęły się zjawiać pojedynczo, później coraz więcej, wreszcie, gdy zaczerniało w uliczce pomiędzy kępami, strzeliłem z drugiej lufy w lot i zaledwie zostało na placu sześć sztuk. Gorzkie sobie czyniłem wyrzuty za tak marny plon na taką ogromną liczbę, gdyż z pewnością było ich kilka, a może i dziesięć tysięcy; rzeczywiście, gdybym był zaczekał jeszcze, byłoby się więcej zgromadziło, ale denerwowały mnie te, które przepływały tuż poza krzakiem, pod którym leżałem. Możnaby myśleć, że już wszystkie kaczki wyniosły się z bagna, tymczasem wiadomo mi było, że dopiero teraz będę miał najprzyjemniejsze i najkorzystniejsze polowanie, kaczki bowiem w tym wypadku, jak obecny, rwą się blizko i pojedyńczo wtenczas dopiero, gdy je pies do tego zmusi, strzał nie płoszy nawet bardzo niedaleko będących,— przy dobrym wyżle co do jednej wystrzelać można. W rezultacie w ciągu może niespełna czterech godzin zabiłem dziesięć krzyżówek i szesnaście cyranek, a wieleż to jeszcze można było zabić, gdyż zaledwie czwartą część kęp przeszukałem. Ale czas było powracać do domu, bo ja nigdy dłużej niż cztery, a najwyżej pięć godzin dziennie nie polowałem,— bardziej jeszcze żal mi było poczciwych psisków, które i tak, nie wiem jak wytrzymały przez cztery godziny, ciągle pływając, a wreszcie coby było robić z taką masą kaczek. Był to największy rezultat przez ciąg moich polowań, ale bo też nigdy już takiej gromady w tak ciasnem i dogodnem miejscu nie spotkałem. Kiedyindziej, gdy na środku większego, ale niezbyt dużego jeziora, było kilkaset lub więcej kaczek, to zawsze w kępach na kilkanaście sztuk śmiało liczyć mogłem; naturalnie, im było większe stado, tem więcej i zabić można. Nadmieniłem poprzednio, że gdy kaczki choćby na krótką chwilę spostrzegą człowieka, już się zwabić nie dadzą; potwierdzę to krótkim przykładem. Szedłem opodal sporego jeziorka, siedziały na środku cztery kaczory; cofnąłem się natychmiast, obszedłem jeziorko zdaleka i dostałem się do gęstej choinki nad samym jego brzegiem, zacząłem, podług zwyczaju, udając dwie, czy trzy kaczki. Z początku żaden z nich ani drgnął, później zaczęły się ruszać, przepływać, ale o zbliżaniu się do mnie bardzo powątpiewałem, już miałem odejść, gdy nareszcie odłączył się jeden i przyszedł na strzał. Tę opieszałość w wabieniu przypisuję jedynie temu, że mnie poprzednio dostrzegły. Miałem podobne wydarzenie kilka razy z kaczkami i raz z żórawiem.

K. Dębicki.

(C. d. n).

Kłusownictwo we Francyi.

(Ciąg dalszy).

Pierwszy z nich jest to myśliwy, nieposiadający pozwolenia na prawo polowania, często zbyt biedny, aby je mógł sobie opłacić. Jest to zwykle fanatyk myśliwski, nieposiadający kawałka własnej ziemi. Spędza on noce bezsenne, starając się oszukać czujność strażników. Ma w sobie namiętność kłusownictwa, to uczucie naturalne, pierwotne, że tak powiem, wrodzone w człowieku. Taki kłusownik żyć nie może bez strzelby. Jest to w rzeczywistości myśliwy, który okrada skarb i który często sprzedaje swą zwierzynę lichym myśliwym. „Jako zwolennik tego samego kultu, co i my—mówi d'Houdetot—, to dziecię zbłąkane, ale nie stracone, nie przestaje być myśliwym, gdyż swą sztukę kłusowniczą uprawia sposobami myśliwskiemi. Postawić go obok jego niebezpiecznego kolegi, łowiącego sieciami lub wnykami, byłoby zbyt pochlebnem dla korporacyi niewiernych".

Wszyscy sieciarze i wnykarze są stokroć niebezpieczniejsi, gdyż schwytanie ich na gorącym uczynku jest bardzo trudne; ci złoczyńcy łowią nadewszystko w nocy i cichaczem. Robią oni straszne spustoszenia w zwierzostanach i są przyczyną stopniowego znikania zwierzyny.

Ten rodzaj kłusownictwa jest najtrudniejszym do zwalczenia. Najlepiej jest rekrutować strażników z pomiędzy kłusowników, gdyż znają oni wszelkie wybiegi swych dawnych kolegów, którzy tembardziej będą ich się obawiali, im większą będzie ich odwaga i zręczność. Był czas, że osobiście mogłem studyować kłusowników oraz ich sposób postępowania. Jako wójt gminy *(maire)*, w której grasowało mnóstwo prawdziwych doktorów kłusownictwa, mogących zaimponować nawet samemu Labruyerowi, mogłem przez lat piętnaście śledzić ich pracę, szczególnie, żem wielu z nich używał jako parobków na fermie. Miałem z nich doskonałych pomocników przy ochronie zwierzyny, gdyż uprzedzali mnie zawczasu o zamysłach wnykarzy i innych dwunożnych lisów.

Wszelkie tajemnice kłusownictwa polegają na wyzyskaniu ciekawości, łakomstwa lub namiętności płciowej zwierząt i ptaków. Trzy czwarte zwierząt, wziętych na wnyki lub samołówki, są zwabione powłoką z umoczonych w olejku lawendowym, części rodnych samicy tego samego gatunku, zabitej przez uduszenie; często też kłusownicy łowią przy pomocy ziarna lub innego karmu, napojonego jakąkolwiek materyą, posiadającą ten sam odór, co części rodne samicy w czasie grzania.

Znałem pewnego mistrza-kłusownika, który zginął na stanowisku, zabity przez rogacza; miał on sekret kilkunastu mikstur, przeznaczonych do przynęcania zwierząt i ptaków. Dostałem od niego te recepty; wszystkie jego mikstury posiadają zapach bardzo aromatyczny. Wypróbowałem je i przekonałem się, że wszystkie przyciągają doskonale samce, a niekiedy stare samice, — te ostatnie wiedzione zapewne ciekawością.

Kłusownik ten znalazł mieszaninę, która mu pozwalała brać kuropatwy żywe. Jeśli który z moich czytelników spotka kiedy kuropatwy lub bażanty ze skrzydłami zwieszonemi, z pierzem nastroszonem, tłuste, a mimo to nie mające sił ani latać, ani biegać, niech im da natychmiast pić, a uratować je może. Mieszanina, w mowie będąca, nie zawiera w sobie trucizny, lecz daje ona takie pragnienie, że biedny ptak ma wszelkie ruchy sparaliżowane. Zdarzało mi się też spotykać zające i króliki otrute. Pewien chemik, mój osobisty przyjaciel, zrobiwszy analizę, przekonał się, że śmierć nastąpiła u niektórych wskutek trucizn, otrzymanych przez wygotowanie szaleju lub solanum.

Kłusownik, obeznany dobrze z zastawianiem wnyków, może ciągnąć doskonałe korzyści ze swego rzemiosła. Jeśli jest żonaty, to żona jego wynajduje miejsca zbytu dla zdobytej zwierzyny; jeśli ma dzieci, te pilnują okolicy w chwili, kiedy ojciec jest zajęty rozstawianiem wnyków.

Żelaza nie są używane przez kłusowników, gdyż kosztują zbyt drogo i są bardzo łatwe do odkrycia. Większość kłusowników zna doskonale sztukę wabienia za pomocą palców lub za pomocą wabików, zrobionych z kości gęsi, barana, zająca lub królika; naśladując głos właściwy, zwabiają oni zwierzynę do swych sieci lub wnyków. Używają też ptaków wypchanych w naturalnych pozach, a mających służyć za wabia dla żywej zwierzyny.

Kłusownicy zrozumieli siłę stowarzyszeń, dlatego tworzą oni liczne towarzystwa, mające siedziby w większych miastach, a rozgałęziające swą działalność na sąsiednie wsie. Towarzystwa te zwykle tylko raz w rok i w rozmaitych sezonach robią najście na jeden i ten sam teren. Składają się one z członków czynnych i sprzedawców. Wszędzie mają specyalnych agentów, którzy im służą za wywiadowców i dostarczają wszelkie dane o strażnikach. Specyalne brygady są wysyłane do okolic, przedstawiających szansę powodzenia. Kłusownicy przybywają zwykle na schyłku dnia i zatrzymują się u jednego ze wspólników lub w oberży. Miejscowi kłusownicy niezależni dopomagagają im w działaniach. Każdy zdrajca podlega surowej karze.

(*C. d. n.*).

W sprawie srokoszów.

Na skutek drukowanego przez nas artykułu p. t. „Srokosz“, otrzymaliśmy od jednego z naszych prenumeratorów list następujący:

Ostrożnie z wyrokiem!

Od lat 17, to jest od wzięcia dymisyi, pracuję w sadach, winnicach, uprawiam rolę i zasadzam lasy w dobrach moich, położonych w chersońskiej gub., w pow. odeskim, nad brzegiem morza Czarnego. Zatem, jako rolnik, bezustannie będąc w styczności z fauną i florą miejscową, nadto jako myśliwy, a nawet i hodowca stworzeń łownych, nietylko nie niszczę, lecz przeciwnie—hoduję *srokosze*, jako nader pożyteczne, owadożerne ptaki, i nigdy nie zdarzyło mi się zauważyć zjawisk, w „Łowcu Polskim“, w artykule o srokoszu wspominanych; zatem proponuję, aby z wszelkich kątów kraju w roku przyszłym, prenumerujący „Łowca Polskiego“ przysłali do Redakcyi żołądki *srokoszów* wraz z głowami dla sprawdzenia faktów, opisanych w „Łowcu Polskim“, gdyż, według mego zdania, wyłuszczone w powyższym artykule twierdzenia, nie posiadają dostatecznych podstaw.

Juliusz hr. Stibor-Marchocki.

Lubomiła Roxolana we wrześniu 1904 r.

Proponowane przez Szanownego Autora powyższego listu, nadsyłanie do naszej Redakcyi żołądków i głów srokoszy, uważamy za zbyteczne, gdyż dość jest rozejrzeć się w literaturze ornitologicznej, aby nabrać przekonania, że przytoczone w artykule „Srokosz“ fakta oparte są na powadze najsławniejszych badaczów życia zwierząt i ptaków, jak Brehmowie (ojciec i syn), Naumann, Lenz, Taczanowski, prof. Menzbier i inni. Aby więc zadość uczynić życzeniu, wyrażonemu w powyższym liście, przytoczę tu dosłownie zdania wszystkich tych autorów.

Zacznę od Brehma, którego klasyczne dzieło „Życie zwierząt“ *) przetłómaczone zostało na wszystkie cywilizowane języki.

Mówiąc o największej z naszych dzierzb, a mianowicie o dzierzbie srokoszu (*Lanius excubitor*), Brehm wyraża się w sposób następujący: „W zimie widzi się go często wpośród wróbli, grzejącego się na słońcu wraz z niemi; nagle chwyta on jednego z nich i zabija uderzeniem dzioba, lub dusi w pazurach. Następnie zanosi swą ofiarę do miejsca bezpiecznego i, jeśli głód mu nie dokucza, wpina ją na cierń lub ostro zakończoną gałązkę i spokojnie zjada, szarpiąc na kawałki. Jest on tak odważny, że nawet ośmiela się atakować stworzenia większe od siebie. Ojciec mój był świadkiem, jak srokosz rzucił się na kosa, a Naumann widział go, atakującego kuropatwy, w sidła złapane. Srokosz niszczy mnóstwo młodych ptaszków. Gdyby łączył on zręczność z odwagą, byłby to niewątpliwie jeden z najniebezpieczniejszych drapieżni-

*) A. E. Brehm. La vie des animaux (Traduction française). Paris. Tom III, str. 581 i następne.

ków. Na szczęście, wybrane przezeń ofiary, unikają często prześladowania; niemniej jednak srokosz robi tyle szkody, że człowiek, lubiący ptaki śpiewające, znosić go w swem sąsiedztwie nie może".

Jeszcze gorsze świadectwo wydaje Brehm dzierżbie-gąsiorkowi (*Lanius collurio*). „Ptak ten posiada jeszcze i inne obyczaje, które go nam czynią nienawistnym. Jest to jeden z najstraszniejszych nieprzyjaciół małych ptaszków. Gąsiorek karmi się przeważnie owadami tęgopokrywemi, skoczkami, motylami i gąsienicami, lecz jednocześnie poluje i na małe kręgowe, a drobnych ptaszków niszczy taką ilość, że człowiek nie powinien go cierpieć obok siebie. Tam, gdzie osiedli się para gąsiorków, szybko znikają gajówki i inne małe ptaki. Opuszczają one okolicę, gdzie życie ich jest ciągle na szwank wystawione, gdyż inaczej ulegną kompletnej zagładzie. Gąsiorek odszukuje ich gniazda i niszczy kolejno pisklęta. Naumann widział gąsiorki, niszczące gajówki, pliszki, skowronki; atakują one ptaki, złapane w sidła; rzucają się nawet na klatki, w których zamknięto zięby. Inni badacze podają nam fakta analogiczne.

„W sprawie tej, mówi Lenz, zrobiłem kilka doświadczeń

„1°. W wielkim ogrodzie, otoczonym wysokim, kolczastym żywopłotem, pozabijałem wszystkie gąsiorki, jakie się tam tylko pojawiły. Tym sposobem małe ptaszki mogły się tam gnieździć spokojnie; wyniszczyły one wszelkie robactwo i miałem doskonały urodzaj owoców.

„2°. W innym ogrodzie, zupełnie podobnym do poprzedniego, zostawiłem gąsiorkom swobodę rozgospodarowania się; wkrótce wszystkie drobne ptaszki wyginęły; drzewa ucierpiały od gąsienic, liście były zjedzone i rezultat w owocach był żaden.

„3°. W jednym kącie dużego ogrodu, w gęstym krzaku pozostawiłem gąsiorki w spokoju, gdy w reszcie tego sadu wyniszczyłem wszystkie inne gniazda. Wkrótce wkoło siedziby gąsiorków drzewa były literalnie obrane z liści, gdy przeciwnie w innych częściach sadu dały doskonały urodzaj".

„Gąsiorek ma więcej od innych współrodzajowców, rozwinięty zwyczaj napinania swych ofiar na ciernie. Naumann mówi, że ptak ten zbiera zapasy wtedy, kiedy jest nasycony, i że wraca do nich, gdy mu głód dokuczać zaczyna. Jeśli pogoda jest piękna, widzi się wtedy ponapinane owady i żabki; w razie deszczu i zimna, a szczególniej wiatru, spotyka się przeważnie młode ptaszki. Widziałem gajówki i jaskółki, które już z gniazda wyleciały, napięte w powyższy sposób. Zdaje się, że gąsiorek jest bardzo łakomy na mózg ptaków, gdyż prawie wszystkie ptaki, znalezione przezemnie, miały mózg wyjedzony. Jeśli niepokoić gąsiorka podczas jego uczty, porzuca zdobycz, która gnije następnie. Ptak ten zjada także małe gryzonie i jaszczurki.

O dzierżbie rudogłowej (*Lanius rufus*) Brehm mówi: „Ptak ten ma podobne obyczaje, co i gatunki poprzedzające (srokosz i gąsiorek), zdaje się jednak być mniej okrutnym, chociaż rzuca się, jak i tamte, na małe zwierzątka kręgowe. Karmi się przeważnie owadami, a inne stworzenia łowi tylko wtedy, gdy go głód przyciśnie".

Najlepszą opinię posiada u Brehma dzierżba czarnoczelna (*Lanius minor*). „Według zdania wszystkich przyrodników, jest to dzierżba najmniej szkodliwa i najmilsza. Naumann twierdzi, że nie atakuje ona nigdy innych ptaszków, karmiąc się wyłącznie samemi owadami.

Posłuchajmy teraz, co mówi o srokoszu nasz znakomity ornitolog, Władysław Taczanowski, w dziele swem „Ptaki krajowe" (Kraków. 1882, tom I, str. 321). „W zimie żywi się głównie myszami, lecz i dosyć drobnych ptaków wyjada. Zdobycz upatruje najczęściej z wierzchołków drzew lub krzaków, na których zwykle przesiaduje, lub też przelatując od drzewa do drzewa, zawiesza się na wzór pustułek w pewnej wysokości nad norami i wyczekuje, póki się mysz albo polnik nie pokaże. Drobne zwierzątka ssące nasiada z góry i prędko zamordowawszy, niesie w pazurach na drzewo sąsiednie; za ptakami zaś długo musi się uganiać, nim je sforsuje; najwięcej bierze pośmieciuszek, trznadli, sikor i różnych łuszczaków. W lecie więcej się karmi owadami, lecz przytem wybiera z gniazd młode ptaszki i jaja".

O dzierżbie czarnoczelnej Taczanowski w ten sposób się odzywa: „Rzadko porywa się na stare ptaki, lecz młode z gniazd i jaja chętnie wybiera". Gąsiorek, według zdania tegoż uczonego, „żywi się głównie owadami. wyjada także z gniazd dużo małych ptaszków i jajek".

Prof. Menzbier *), mówiąc o srokoszu, dodaje, że pokarm jego składa się przeważnie z myszy i drobnych ptaszków.

Na zakończenie przytoczę jeszcze zdanie znakomitego ornitologa belgijskiego, Ch. F. Dubois, którego trzytomowe dzieło „Planches coloriées des oiseaux de la Belgique". (Bruxelles-Leipzig-Gand 1854) znajduje się we wszystkich bibliotekach ornitologicznych. Uczony ten, mówiąc o dzierżbie rudogłowej, wspomina: „Pokarm: chrząszcze, świerszcze, gąsienice, rzadko kiedy ptaki". Dzierżba czarnoczelna karmi się, według niego, świerszczami, krówkami, bardzo małemi ptakami; gąsiorek—krówkami, skoczkami polnemi, dużemi muchami, pająkami, młodemi ptaszkami, myszami i żabami; srokosz wreszcie — myszami, polnikami, kretami, małemi ptaszkami, a przeważnie wróblami, ziębami i trznadlami, „między któremi siedzi spokojnie i dobrotliwie, dopóki nie jest pewnym zdobyczy; nawet drozdy nie są pewne życia przy nim; jeśli kilka srokoszów trzymać razem w klatce, to często rozszarpują się wzajemnie".

Sądzę, że przytoczone powyżej opinie najznakomitszych ornitologów europejskich wystarczą, aby przekonać Szanownego Autora zacytowanego powyżej listu, jak i innych łaskawych naszych czytelników, o szkodliwości wszystkich przedstawicieli rodzaju „dzierżba".

Jan Sztolcman.

WSPANIAŁY JELEŃ.

P. Jerzy Karcow podaje w jednym z ostatnich zeszytów czasopisma „Psowaja i ružejnaja ochota" opis i okoliczności zdobycia wspaniałego dwudziestoósmaka. Jeleń ten padł od kul Jego Cesarskiej Wysokości W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza oraz Świty Jego Cesarskiej Mości generała-majora ks. Koczubeja podczas Najwyższych polowań w Białowieży na początku września 1903 roku.

W d. 20 września — mówi pan Karcow — Najwyższe polowanie odbywało się w północno-zachodniej części puszczy, o 5 wiorst od miejsca dawnego zwierzyńca, w którym ongi trzymano jelenie, sprowadzane ze Spały i Austryi. Przez pierwsze lata po wypuszczeniu jeleni, rykowisko odbywało się przeważnie w około zniesionego zwierzyńca, gdyż zwierzęta przywykły do miejsca i nie odrazu się rozproszyły. Dlatego to aż po dziś dzień stare byki, odbywające dalekie wędrówki, pod wpływem zakorzenionego zwyczaju, ściągają z całej puszczy na rykowisko w okolice zwierzyńca.

Miot, w którym stał nasz wspaniały jeleń, wzięto zwykłą obławą. Środkowe numera na linii zajmowali w następującym porządku: lejb-medyk Hirsz,

*) Pticy Rossii. Moskwa 1895, t. II, str. 729.

ks. Koczubej, hr. Wielopolski (naczelnik polowań w Spale) i Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz. W czasie pędzenia hr. Wielopolski spostrzegł przed sobą, mniej więcej na 150 kroków, wielkie stado jeleni, złożone z kilkudziesięciu łań i kilku byków. Hrabia zmiarkował, że jeden z nich wart jest strzelania, lecz jelenie szły za bystro i za daleko, wskutek czego myśliwy nie spostrzegł się, że przed nim defilował jeden z najrzadszych okazów. Stado kierowało się pod ostrym kątem ku linii myśliwych, wprost na stanowisko ks. Koczubeja, więc też hr. Wielopolski nie podniósł nawet sztucera. W parę sekund potem spostrzegł on, jak stado przemknęło przez linię, a wnet potem usłyszał dwa wystrzały księcia, skierowane za linię, ponieważ obława znajdowała się już blizko. Po strzałach jeden z grubych jeleni, widocznie raniony, oddzielił się od stada, lecz i wtedy hrabia nie mógł dobrze widzieć jego rogów. Ks. Koczubej miał stanowisko przed gąszczem i rozróżnił w stadzie kilka dorosłych byków, zdatnych do odstrzelania; nie wiedząc także, do jak wspaniałej sztuki się mierzy, strzelił zrywczo, prawie na chybił trafił do zwierza, idącego kłusem, na odległość 80 kroków. Stojący za księciem, strzelec również zauważył, że wspaniały jeleń odłączył się od stada i przeszedł do sąsiedniego miotu, który z porządku rzeczy zajęto następnie. Myśliwi zostali na tychże samych stanowiskach, tylko odwrócili się plecami do poprzedniego miotu. Pod koniec pędzenia, na chwilę przed sygnałem: „przestać strzelać“, Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz spostrzegł przed sobą jelenia z przepysznemi rogami, który szedł drobnym, lecz śmiałym kłusem wprost na Jego Wysokość. Jeleń szedł z opuszczoną głową, bez tego dumnego wyglądu, jaki oznacza zwierza zdrowego. Byk chrapał, a z gardła ciekła krew. Dopuściwszy go na 20 kroków, Wielki Książę położył go doskonałą kulą na komorę. *Le coup de grâce* — jak mówią Francuzi, był w zupełności udały. W kilka minut potem zabrzmiał sygnał, zwiastujący koniec pędzenia. Sąsiedzi Wielkiego Księcia usłyszeli okrzyki zachwytu Dostojnego Myśliwca i podeszli do Jego Wysokości. U stóp szczęśliwego Strzelca leżał jeleń, na którego dość było spojrzeć, aby zrozumieć zachwyt Wielkiego Księcia. Wkrótce nadszedł Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Włodzimierz Aleksandrowicz, a wkrótce za nim Ich Cesarskie Moście Najjaśniejszy Pan i Najjaśniejsza Pani raczyli oglądać rzadką, myśliwską zdobycz. Okazało się, że jeleń dostał dwie kule: pierwsza, księcia Koczubeja, przeszyła gardło, a druga — Wielkiego Księcia, położyła zwierza.

Jeleń ten nosił na lewym rogu 14, a na prawym 12 gałęzi. Podajemy tu niektóre pomiary, wzięte przez pana Karcowa:

Długość prawego rogu (po krzywiźnie zewnętrznej)	112,5	ctm.
Długość lewego rogu (po krzywiźnie zewnętrznej)	105,1	„
Największa rozwartość rogów pomiędzy najbardziej oddalonemi od siebie końcami.	104	„
Obwód rogu przy róży	21,5	„
„ „ przy nasadzie końcowego rozwidlenia	17,3	„
Wysokość rogów po cięciwie . . .	88	„

Rogi te przechowują się w Cesarskim pałacu w Białowieży, a dokładne ich kopie zrobione były ze specyalnej masy przez berlińskiego majstra na obstalunek Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza i ks. Koczubeja.

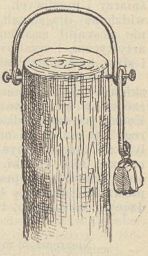
J. S.

Blokada drapieżników.

O łatwem urządzeniu, przeszkadzającem ptakom drapieżnym w blokowaniu zwierzyny łownej pisze jedna z gazet łowieckich zagranicznych, co następuje, podając zarazem odpowiedni rysunek.

W oparkanionych pomieszczeniach, przeznaczonych dla ptastwa; w remizach dla kuropatw, gdzie urządza się płoty, ażeby pasące się bydło nie mogło tam wchodzić; wogóle wszędzie, gdzie grozi niebezpieczeństwo, że ptaki drapieżne, a szczególnie wrony, mogą wyrządzić szkodę w żywym inwentarzu, przebywającym za parkanem, — można temu zaradzić, urządzając następujący, łatwy i prosty przyrząd na miejscu.

Jak wiadomo, wrony siadają chętnie na wysokich przedmiotach w pobliżu swych upatrzonych zdobyczy, jak np. na kołkach płotów, aby stąd obmyśleć w pewnym stopniu i przygotować plan walki. Przeszkadzać temu można w następujący sposób: Z drutu parkanowego wygina się, jak to jest widoczne na znajdującym się obok rysunku, pałąk, który może objąć cały kołek. Końce pałąka zagina się, nadając im kształt uszek, a z jednej strony nie obcina się drutu gładko, lecz zostawia się jeszcze kawał, długości mniej więcej ręki. Pałąk ten przymocowuje się dwoma gwoździami, wbitemi z obu stron kołka parkanowego z boku, a do końca drutu, zwisającego z jednej strony luźno, przywiązuje się jakikolwiek ciężar, który stanowić może zwyczajny kamień średniej wielkości. Wszystko to robi się w sposób zupełnie prymitywny, ale w danym razie doskonale wystarczający.



Ma to tylko na celu utrzymywanie pałąka we właściwym kierunku górnym. Kamień nie powinien też być za ciężki, bo inaczej pałąk nie będzie się poddawał.

Gdy wrona siedzi na pałąku tak urządzonym, a musi na nim siadać, bo wokoło niema miejsca wolnego, to pałąk pod ciężarem będzie się przeginał na bok, czem przestraszy wronę, która natychmiast ucieknie stąd. W ten sposób straci możność rekognoskowania stamtąd terenu, by uchwycić chwilę właściwą do rzucania się na zdobycz.

†

Leopold hr. Starzeński.

Łowiectwo nasze, a szczególnie literatura łowiecka, straciły jednego ze swych najwybitniejszych przedstawicieli w osobie ś. p. Leopolda hr. Starzyńskiego, tego myśliwego-poety, którego „Tok cietrzewi“ drukowaliśmy w Nr. 2 „Łowca Polskiego“ z 1899 r. Garstkę wiadomości o tym znakomitym myśliwym i doskonałym poecie, czerpiemy z bratniego nam pisma, „Łowca“ lwowskiego, który w następujący sposób uczcił pamięć ś. p. Starzeńskiego.

Grubym kirem okryło się znowu nasze Towarzystwo Łowieckie.

Z jego grona ubył na zawsze jeden z najstarszych członków, jeden z najtęższych współpracowników „Łowca“.

Niemniej jednak ciężką żałobę przybrało dzisiaj całe Łowiectwo polskie.

Ś. p. Leopold Starzeński był jednym z jego starych, granitowych, ostatnich filarów, dźwigających jeszcze żywe tradycye staropolskiego myślistwa. Towarzysz w młodości takich myśliwych, jak ś. p. Aleksander Dzieduszycki, Kazimierz Wodzicki i Włodzimierz Dzieduszycki, brał żywy udział w tych wielkich łowach, których pamięć przechowała nam tradycya, a które Wodzicki swem ślicznem piórem tak wspaniale skreślił. Ale nietylko myśliwym zawołanym był ś. p. Starzeński, był on nadto myśliwym - poetą, kochał ze wszystkich sił swej duszy przyrodę, kochał te nasze śliczne góry i lasy, wśród których większą część spędzał żywota, a przyroda, ta kochanka pieśniarzy i myśliwych, odsłaniała przed nim nieraz niewidzialne dla innych, swe wdzięki. A ponieważ Bóg nie poskąpił zmarłemu talentu i dał mu na wskroś artystyczną i egzaltowaną duszę, umiał, to co widział i słyszał, w cudne zaklinać słowa.

Urodzony w 1835 r. z Józefa, oficera wojsk polskich, i Julii z Gromnickich, był ś. p. Leopold Starzeński w życiu towarzyskiem bardzo miłym i łatwym. Kochał bardzo młodzież. Towarzystwo lisowickie, którego był członkiem od czasu założenia, traci w zmarłym znakomitego myśliwego i wypróbowanego towarzysza. Jego kroniki, które, jako sekretarz towarzystwa lisowickiego, przez lat 12, od r. 1871 do 1883, prowadził, tryskają humorem i nikomu nic nieszkodzącym sarkazmem, bo, jak powiada:

„...Niezręczność mym dotkiem,
„Ale nigdy złe chęci... na to Bóg mym świadkiem.
„A w to zawsze wierzyłem -- proszę mi uwierzyć:
„Lepiej laską trefnisia, niż mieczem uderzyć“.

Myśliwym, jak już wspomnieliśmy, był ś. p. zmarły, zawołanym, a do tego służyło mu do ostatnich czasów, żelazne wprost zdrowie. Nie tak jeszcze dawno temu, bo w r. 1901, w zimie na jakich dziesięć stopni mrozu, jadąc do najodleglejszego rewiru górskiego w Lisowicach, wypadł wraz z towarzyszem z sani do niezamarzniętego strumienia i skąpał się w nim z głową. Towarzysz jego, choć młodszy i mniej mokry, powrócił do domu, a Starzeńskiemu towarzysze suszyli nad ogniskiem futro i czapkę, bo wrócić nie chciał, lecz pojechał na łowy i cały dzień polował bez najmniejszego dla zdrowia uszczerbku.

W r. 1881 przedsiębrał zmarły wycieczkę myśliwską do Azyi, skąd przywiózł z sobą kilka ładnych zdobyczy i wiele, wiele wspomnień.

A dzisiaj i on dla nas już tylko wspomnieniem!

W ostatnich latach swego życia otrzymał szczytne nazwisko Nestora i tak Go prawie tylko Jego towarzysze nazywali!

Dziś nad jednym z najstarszych i najpierwszych myśliwych polskich zamknęła się mogiła. Krewni, znajomi, przyjaciele i towarzysze broni ślą mu z serca ostatnie pożegnanie, a w imieniu swych członków rzuca, dzisiaj grubym kirem okryte Towarzystwo łowieckie, grudkę ziemi na mogiłę swego najlepszego przyjaciela.

Cześć Twej pamięci łowcze—pieśniarzu!

A. M.

Drobiazgi myśliwskie.

Konkursy strzeleckie. Strzelnica Warszawska ogłasza konkursy strzeleckie o mistrzowstwo (championat) na 1904 rok. Konkursy odbywać się będą w czasie od d. 2 do 30 października. Warunki konkursów tych zasadniczo pozostają te same, jakie obowiązywały przy wiosennem strzelaniu konkursowem.

Rozporządzenie. „Warsz. gub. wied.“ ogłosiły następujące rozporządzenie p. gubernatora warszawskiego: 1) W gub. warszawskiej w pasie granicznym siedmiowiorstowym zabrania się polować z obławą lub naganką bez poprzedniego zawiadomienia o tem za każdym razem oficerów straży pogranicznej. 2) Winni niezastosowania się do obecnego postanowienia obowiązującego, pociągani będą do odpowiedzialności sądowej na mocy art. 20 ustawy karnej. 3) Rozporządzenie obecne zyskuje moc prawną po trzykrotnem ogłoszeniu go w miejscowych „Gub. wied.“.

Przepisy o psach. Były oberpolicmajster warszawski jenerał Lichaczew, złożył władzy wyższej nowy projekt przepisów o psach w Warszawie. Projekt żąda przedewszystkiem podwyższenia podatku od psów, a następnie stawia warunek, aby psy, prócz obroży ze znakiem, miały jeszcze kagańce; wyjątek stanowią psy, trzymane na ręku lub prowadzone na sznurku. Psy, chwytane bez żadnych znaków, mają być niezwłocznie tępione; schwytane zaś ze znakami, zatrzymuje się, a przy odbiorze właściciel płaci 50 kop. i za każdy dzień utrzymania psa 20 kop. Projekt powyższy ma być rozpoznawany przez zarząd miejski.

Zwierzyna i pożar. Z Sulejowa, pod Piotrkowem, piszą do „Gaz. Świątecznej“: W dobrach Łęcznie spaliło się około 16 włók lasu. Boleśnie było patrzeć na szczątki wspaniałych drzew i zarośli, zniszczonych w ciągu paru godzin przez ogień. Jelenie i sarny, wygnane z jednego miejsca, pędziły naoślep, wpadały pomiędzy płonące drzewa i ginęły w płomieniach.

Wrony zamiast kuropatw. Jedno z pism warszawskich opowiada, że na ulicach sprzedają teraz „kuropatwy“, już odarte z pierza, a nawet ze skóry, które są nadzwyczaj tanie i niejednego zachęcają do kupna. Ale doświadczone gosposie z łatwością poznają, iż rzekome kuropatwy to... młode wrony, których mięso jest gorzkie, niesmaczne. Lecz wielu daje się złapać na... tanie kupno. W restauracyach drugorzędnych często obecnie wrony figurują na karcie obiadowej jako... kuropatwy.

Niedźwiedź zakopiański. Z Zakopanego donoszą, że p. Barabasz, dyrektor tamtejszej szkoły zawodowej przemysłu drzewnego, zabił w tych dniach w górach okolicznych niedźwiedzia ogromnych rozmiarów.

Psy dla armii. „Intrasigeant“ donosi, że rząd rosyjski nabył od majora Otonvila, zajmującego się hodowlą psów, znaczną liczbę tych zwierząt. Psy te pochodzą z krzyżowania różnych ras psów owczarskich i odznaczają się niezwykłą zmyślnością. Przyuczone są do odszukiwania ranionych; znalazłszy takiego, pies zatrzymuje się i szczekaniem daje znać sanitaryuszom. Dopóki nie nadejdą z noszami, pies nie opuści ranionego. Na grzbiecie pies niesie beczułkę z winem wzmacniającem i paczkę środków opatrunkowych. Petersburskie towarzystwo zwolenników psów rasowych sprowadziło swoim kosztem takie psy z Niemiec. Próby wypadły nader udatnie. Według czynionych doświadczeń, jeden pies może obsłużyć całą dywizyę.

Tragedya niedźwiedzia. W zoologicznym ogrodzie berlińskim wydarzył się wypadek żonobójstwa... niedźwiedziego. Dr. Heck w jednem z pism tak opowiada: Wypadek zamordowania samicy przez samca niedźwiedzia, po latach spokojnego pożycia, świadczy o złych instynktach gatunku; lew lub tygrys z pewnością by tego nie uczynił. Rzecz się tak miała: Pa-

ra niedźwiedzia, mieszcząca się w klatce B., żyła ze sobą już pięć lat spokojnie i zgodnie i miała potomstwo. Niedźwiedzica była bardzo potulna, i tylko w obronie swych małych gotową była walczyć zawsze. Od dłuższego jednak czasu, od kilku miesięcy, zaczęła zapadać na zdrowiu, co widocznie niedźwiedzia irytowało. Niedźwiedzica traciła humor i tak dalece z sił opadła, że dla lepszego odżywiania jej i zapewnienia spokoju, brano ją do osobnej klatki, w której spędzała po kilka godzin, otrzymując odpowiednie lepsze pożywienie. To zarządzenie widocznie gniewało niedźwiedzia; stał się mrukliwy i wobec dozorców nierzadko okazywał swój zły humor. W chwilach wspólnego pobytu, dawał to uczuć niedźwiedzicy, która, osłabła i chora, nie chciała dzielić jego igraszek i usuwała się do kąta. Że zaś o słabości niedźwiedzicy były wzmianki w pismach i publiczność darzyła ją swą sympatyą w formie rozmaitych smakołyków, niedźwiedź uczuł tem większy żal do swej małżonki. Zawiść jego stawała się z każdym dniem większą i gniew wzrastał; gdy wreszcie niedźwiedzica z osobnej klatki przyszła do wspólnego mieszkania, rzucił się ku niej i porwał w śmiertelny uścisk. Osłabiona niedźwiedzica nie mogła się bronić, wydarł jej się jednak szalony jęk, który ustał niebawem, gdyż niedźwiedź przegryzł jej gardło. Przybiegli dozorcy; widłami i silnym strumieniem wody, skierowanym w oczy niedźwiedzia, oderwano go od ofiary, która ostatnie wydała tchnienie.

Na stanowisku w lesie. — Ale że też to pan ani razu nie strzelił!

— Bo zapomniałem naboi...

— To po co pan tak wypatruje?

— Patrzę, czy nie widać kucharza, co miał ze śniadaniem do lasu przyjechać i nie widać go, szelmy!!

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*).

Chart.

1. Ani charty, ani karty (skromne życie, bez polowań, hulanek i t. p.).
2. Chartami go nie uszczwać.
3. Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu.
4. Chartem, jastrzębiem przyjaźń jednają.
5. Chart pokorny, ogarz (ogar) łakomy, wyżeł zwadliwy.
6. Często inszy chart porwie kota, nie ten, co dogoni.
7. Przed jednym chartem ucieka sto zajęcy.
8. Równa rzecz — chart i pies.
9. Wiele chartów, zająca śmierć.
10. Chartom często przebacza to, za co kundla knutują.
11. Chart się zrywa, sokół kwili, będzie dzień po chwili.
12. Jednym chartem straszysz, dwoma szczujesz.
13. Trzęsie się, jak charcik angielski.
14. Biegają, jak charci (charty) za lisem.
15. Chudy, jak chart.
16. Koń siwy, chart płowy, ptak biały — częściej dobrzy trafiają się.
17. Koń w dzielności, pachołek przy trunku, chart u zająca — jakim się raz pokaże, takim je długo rozumieć może (takiemi długo będą). (*C. d. n.*).

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Józefowi Popławskiemu. Odpowiedź na zadane nam pytanie, pomieścimy w następnym numerze.

Treść Nr. 19 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Dom Handlowo-Leśny
M. GODLEWSKI i F. DĘBSKI
Warszawa, Chmielna Nr. 25. – Telefonu Nr. 2762.
(37)

Polowania

dworskiego 50—200 włók poszukuję. Oferty dla „Ezet“ skład w Biurze Ogłoszeń L. i E. Metzl i S-ka. (108)

MEBLE we wszystkich stylach poleca **ADOLF OKOŃ i S-ka**
Mazowiecka 5, I piętro.
Kupujący w moim magazynie, zechcą się powołać na niniejsze ogłoszenie.

PRACOWNIA
Wypychania Ptaków i Zwierząt
WIKTORA ŁASTOWSKIEGO
WARSZAWA, Krakowskie-Przedmieście № 38,
Obok „Hotelu Bristol“.



Przyjmuje wszelkie zamówienia, jako to:
Wypychanie ptaków i zwierząt, oprawa rogów i robienie dywanów.
Po cenach — przystępnych.

ROMUALD WIĘCKOWSKI
Adwokat przysięgły. Chmielna 32.



SPRATTA
Pasza dla bażantów i Suchary dla psów
są najlepszem, najtańszem i najbardziej rozpowszechnionym pokarmem dla psów i ptactwa. Najtaniej nabyć można u: Stol i Schmidt, St. Petersburg; Sukcesorów J. Schenbruner i Fetter i Hinkel, Moskwa; Roberta Ziegler, Warszawa; Michała Rosenbluma, Łódź; J. Eppinger & Co, Ryga; w Petersburskiem Towarzystwie Rolników, Aleksieja Butlera, Libawa; Wilhelma Komonena, Helsingfors; G. W. Zawald, Franca Achillesa; J. B. Winnera Tow. Akc., Kijów; A. Edelherga, Lampe i S-ka, Rostów; Andrzeja Kinblera, Sewastopol; A. Gentcz. Lampe i S-ka, Odessa; B. Wegelins i S-ka, Abo.

Duży wybór koni!!

wierzchowych i zaprzęgowych pół krwi i arabskic czystej krwi, oraz klacze stadne po cenach *umiarkowanych* polecają
J. Charłupski i S-ka w Warszawie,
Chmielna 50. Telefon № 4647.

Kupię
Charta
zupełnie białego w wieku 4 — 12 miesięcy.
Edward Lilpop, Zgoda № 3 m. 6.

101

Wyżły

różnych typów, **tresowane** w cenie od rb. 50 do 400 ma zawsze do zbycia. **Również jamniki**, W. Majewski poczta Skierniewice w Zwierzyńcu.

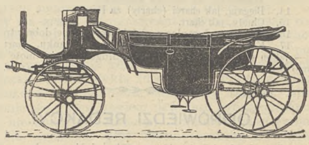
44

NOWOŚĆ dla Warszawy
49 Krucza 49
przy rogu Alej Jerozolimskich.
Włoska Specjalna Ciastkarnia
Poleca swoje wyroby:
Panettone di Milano;
Sucharki; Petifury.
Brioches fines.
G. G. LARDELLI.

WARSZAWSCY CUKIERNICY (30)
Blikle, Zawistowski, Górscy i S-ka

Nowo-otworzona filia
Marszałkowska 123 (róg Siennej)
Wielki wybór **Cukrów Deserowych, Kakao, Czekolady, Pralin** i t. p.

Wielki wybór powozów gotowych (63)
Filipa LORETZ
WARSZAWA, Leszno 23 (Dom własny). Telefon Nr. 4037.
Egzystuje od roku 1866.



ZAKŁAD MEBLOWY
LUDWIKA ORTHWEINA
Egzystujący od 1870 roku
przeniesiony został z Senatorskiej 12 na **MAZOWIECKĄ 2.** (33)
Poleca całkowite urządzenia apartamentów od skromnych do najwykwintniejszych.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Сентября 1904 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.